

@trament

WZORCOWE STADŁO RODZINNE.

- KRÓTKA HISTORIA MAŁŻEŃSTWA

O KOBIECYM PISANIU

BABSKIM OKIEM

ORAZ:

POEZJA

MIGAWKI

PORADNIK PISARZA

MOJA KSIĄZKA

RECENZOWO

OPOWIADANIE





Patronat i wsparcie techniczne:
portal literacki PubliXo.com
wydawnictwo [My Book](http://MyBook)
ISSN 2083-7356

Redaktor Naczelna: Beata Szymura

Teksty w numerze:

Katarzyna Daniel

Krystyna Habrat

Marzena Indra

Isztar

Małgorzata Krawczyk

MojaWyspa

Katarzyna Pessel

Alfons Soczyński

Katarzyna Sternalska

Beata Szymura

Mirela Wczasek

Skład/lamanie: Beata Szymura

Korekta: Beata Szymura

Okładka: Adrian Świdorski

Zdjęcia: <http://www.sxc.hu>

Kontakt z redakcją: atrament@publixo.com

zapraszamy także do dyskusji na [forum „@tramentu”](#)
oraz do odwiedzenia nas na [Facebooku](#)

wersję na e-czytniki (EPUB) znajdziesz na stronie:
www.publixo.com/atrament

Wszystkie teksty w „@tramentcie” są chronione prawem autorskim. Kopio-
wanie i rozpowszechnianie bez zgody autorów jest zabronione.

Magazyn elektroniczny „@trament” jest BEZPŁATNY. Niedozwolona jest
sprzedaż całości ani jakichkolwiek fragmentów.

ZESPÓŁ REDAKCYJNY	2
W BIEŻĄCYM NUMERZE	3
OD REDAKCJI	3
NA CELOWNIKU	
Wzorcowe stadło rodzinne. Krótka historia małżeństwa.....	5
O kobiecym pisaniu.....	8
PÓŁ ŻARTEM, PÓŁ SERIO	
Babskim okiem.....	10
POEZJA	
Alfons Soczyński (Alf).....	12
MojaWyspa (DS).....	18
MIGAWKI	
Bańka mydlana.....	25
Ukojenie.....	26
Nadal jest.....	28
Wyłączność.....	30
MOJA KSIĄŻKA	
Katarzyna Daniel > Porcelanowy chłopak.....	31
Marzena Indra > Koniczyna.....	34
PORADNIK PISARZA	
Jak NIE pisać książki.....	38
RECENZOWO	
Sabina Berman: Dziewczyna, która pływała z delfinami.....	41
Simone de Beauvoir: Druga pleć.....	44
OPOWIADANIE	
Bardzo głośne milczenie.....	47
ZAPOWIEDŹ	
@trament nr 2 – sierpień 2011.....	53

Witajcie!

Oddajemy w Wasze ręce pierwszy numer spontanicznego pisma „@trament”. Pomysł na założenie elektronicznej gazety powstał impulsywnie i błyskawicznie się rozwinął: szybko zaczęli pojawiać się chętni do udziału w projekcie, nadsyłający swoje teksty i inspiracje – zebraliśmy małą załogę, gotową do pracy, której efektem jest niniejsza pozycja.

Tematem przewodnim numeru są KOBIECY – ich sylwetki, role w społeczeństwie, rodzinie, pracy, ich problemy i radości, osiągnięcia i kłębki. To temat rzeka, który chcemy naświetlić z najróżniejszych perspektyw.

Poszczególne działy dopiero się krystalizują – pierwszy numer to dla nas swobodnego rodzaju test – próba urzeczywistnienia naszych pomysłów. Mamy nadzieję, że pismo będzie się stopniowo rozwijać, a grono nie tylko naszych czytelników, ale i redakcji – nieustannie powiększać.

Wierzymy, że nasza praca przypadnie Wam do gustu.

Liczymy także na zainteresowanie i odzew ze strony czytelników – piszcie, co sądzicie o gazetce, czego brakuje, a co Wam się podoba, nadsyłajcie swoje propozycje tematów oraz własne teksty. Naszym głównym celem jest tworzenie „@tramentu” wspólnie, gdyż pragniemy stworzyć tu miejsce przyjazne każdemu, dla kogo słowo pisane ma wielką wartość.

Piszesz, ale tylko do szuflady? Publikujesz, ale ograniczasz się do zamieszczania swoich prac w Internecie, gazetkach szkolnych, rozprowadzania ich wśród znajomych? Nie marnuj dłużej swojego talentu – dołącz do nas i podziel się swoją twórczością z innymi. Warto!

Beata Szymura



Wzorcowe stadło rodzinne. Krótka historia małżeństwa

Mirela Wczasek

Relacje pomiędzy kobietami a mężczyznami od zawsze nosiły znamiona ucisku. Jedną z form represji, stosowanych wobec kobiet, jest małżeństwo, które miało zagwarantować mężczyznom pełną kontrolę nad kobietami

i ich podporządkowanie. Instytucja małżeństwa stała się narzędziem polityki płciowej¹ systemu patriarchalnego. W małżeństwie odzwierciedlają się różne rodzaje władzy, które uwidaczniają się poprzez neutralizację związków homoseksualnych, odizolowanie przyszłej małżonki od wpływów rodziny, nakaz przyjęcia nazwiska męża, które jest wyrazem własności i pozwala na przedłużenie męskiej genealogii, eksploatacja pracy domowej kobiet, oddzielenie kobiet od siebie oraz zawładnięcie zdolnościami rozrodczymi². Z chwilą zawarcia małżeństwa kobieta staje się wyłączną własnością mężczyzny, bez którego nic nie znaczy. Jak pisał w *Fizjologii małżeństwa* Balzack „kobieta jest własnością mężczyzny, którą nabywa na drodze kontraktu; jest ruchomością, gdyż posiadanie starczy za tytuł własności; słowem, ściśle mówiąc, kobieta jest przydatkiem do mężczyzny”³.

Do XVIII wieku kobiety pozostawały pod zupełną władzą rodziny, która mogła w pełny sposób decydować o ich przyszłym losie, w tym o zamążpójściu. Jednakże wolność majątkowa kobiet była wtedy znaczna – miały one możliwość dysponowania posagiem, który stanowił ich własność. W XIX wieku sytuacja ta

¹ Według Kate Millet termin „polityka” obejmować będzie wszelkie relacje i układy oparte na hierarchii władzy, w których jakaś grupa osób rządzi inną” (K. Millet, *Teoria polityki płciowej*, [w:] *Nikt nie rodzi się kobietą*, tłum. T. Hołównka, Warszawa 1982, s. 58).

² Zob. S. Walczewska, *Damy, rycerze i feministki*, Kraków 1999, s. 126.

³ S. de Beauvoir, *Druga płeć. Tom I. Fakty i mity*, tłum. G. Mycielska, Kraków 1972, s. 180.

uległa zmianie. Co prawda kobiety zyskały większą wolność w kwestii wyboru przyszłego małżonka, niestety pozbawiono je zupełnie możliwości decydowania w kwestiach finansowych. Kodeks Napoleona z 1807 uznał kobietę za „wieczyste małoletnią” i oddał ją pod pełną kontrolę rodziny, a następnie męża. Do lat 20.–30. XIX wieku małżeństwo służyło w znacznej mierze celom społeczno-gospodarczym. Zapewniało ono bowiem stabilizację majątkową i pozycję społeczną kobiecie, której funkcjonowanie poza instytucją małżeństwa było mocno ograniczone. Za jego pośrednictwem dokonywano fuzji majątków i budowano rodowe fortuny⁴.

Aby utrzymać pożądany stan rzeczy, system patriarcalny ograniczał dostęp kobiet do wykształcenia oraz poddawał je ciągłej socjalizacji. Wpajało się im wartości i wzorce, które ułatwiały późniejsze nimi sterowanie. Już małe dziewczynki uczy się potulności, łagodności, szacunku wobec nakazów ojca, który kreowany jest na głowę, czyli pana rodziny. Kobiety przez długi czas nie miały możliwości kształcenia się na uczelniach wyższych, a wcześniej nawet chodzenia do szkoły. Ich edukacja kończyła się w większości na lekcjach gry na pianinie, lekcjach śpiewu bądź nauce języka obcego, przeważnie francuskiego. Dodatkowo małżeństwo obwarowane zostało sankcją staropanieństwa. Stare panny to kobiety, które wypadły z ustalonej konwencji, to kobiety, których nikt nie zechciał pojąć za żonę. Poprzez budowanie negatywnego wizerunku kobiety samotnej/niezamężnej, marginalizację jej ze społeczeństwa oraz przez zaniżanie jej poziomu własnej wartości patriarchat chciał wytworzyć przeświadczenie, iż małżeństwo jest jedynym słusznym i godnym wyborem dla kobiety⁵. Poprzez te zabiegi małżeństwo stało się dla kobiety najdogodniejszą ścieżką kariery. „Mężatka ma prawo żądać utrzymania od męża; cieszy się w społeczeństwie o wiele większym szacunkiem niż kobieta niezamężna. [...] Rodzice ciągle jeszcze wychowują córkę z myślą raczej o zamążpójściu, niż o indywidualnym rozwoju; dziewczynka widzi w małżeństwie tyle korzyści, że sama go pragnie”⁶.

Małżeństwo polega na wymianie kobiet pomiędzy mężczyznami, którzy dysponują nimi niczym towarami. Kobiety bowiem, podobnie jak towary, posiadają swoistą wartość. „Ciała kobiet zapewniają – przez użytek, jaki się z nich robi,

⁴ Zob. S. Walczewska, op. cit., s. 126–130.

⁵ Zob. Ibid., s. 139–144.

⁶ S. de Beauvoir, op. cit., s. 214–215.

przez ich konsumowanie i wprowadzanie w obieg – warunkują istnienie społeczności i kultury”⁷. Ekonomia wymiany dokonuje się pomiędzy podmiotami męskimi, które nadają wartość przedmiotom-kobietom. Kobiety nie przedstawiają wartości same z siebie, wartość musi im zostać dopiero nadana. „Towary między sobą nie są więc ani równe, ani do siebie podobne, ani różne. Stają się takimi w procesie znakowania przez człowieka/mężczyznę i dla niego. [...] Wartość wymienna dwóch znaków, dwóch towarów, dwóch kobiet (nie jest w żaden sposób „właściwa” dla nich samych) jest reprezentacją potrzeb-pragnień podmiotów konsumentów-wymieniających”⁸. Na drodze socjalizacji rodzi się w kobietach przekonanie o konieczności dostosowania się do męskich pragnień. „Ekonomiczny przywilej i społeczne znaczenie mężczyzn, prestiż małżeństwa, korzyści męskiej opieki – wszystko to skłania kobiety, by gorliwie zabiegały o względy mężczyzn”⁹. Dlatego też między „towarami” dochodzi do rywalizacji, która zaprzepaszcza możliwość zjednoczenia się kobiet, zbudowanie wspólnoty. Kobiety rezygnują ze swych pragnień i potrzeb, kształtując się pod wpływem męskich spojrzeń, sprowadzających je do przedmiotów. Od chwili zamężcia kobieta staje się westalką domowego ogniska i stoi na straży patriarchy, poza którym nie jest już w stanie funkcjonować, gdyż to on nadał jej tak ważną dla niej wartość.

W czasach współczesnych stabilna i niepodważalna pozycja instytucji małżeństwa stoi pod znakiem zapytania. Ilość zawieranych małżeństw zmniejsza się drastycznie z każdym rokiem przy ciągłym wzroście liczby rozwodów. Kobiety stają się coraz to bardziej samodzielnie i samowystarczalne, dlatego też małżeństwo nie jest już dla nich jedyną drogą wyjścia. Alternatywą dla małżeństwa stały się wolne związki, które stopniowo zatracają swój pierwotnie negatywny odbiór społeczny.

⁷ L. Irigaray, *Rynek kobiet*, tłum. A. Araszkiewicz, [w:] *Przegląd filozoficzno-literacki*, 2003, nr 1 (3), s. 15–16.

⁸ *Ibid.*, s. 20–23.

⁹ S. de Beauvoir, *op. cit.*, s. 215.



O kobiecym pisaniu

Beata Szymura

Ecriture Feminine, francuski termin wprowadzony na określenie kobiecego pisania, jest pojęciem zagadkowym i budzącym kontrowersje. Wywodząca się z socjopolitycznych

ruchów o równouprawnienie teoria krytyki feministycznej wprowadza ten termin w obręb literatury, zakładając jednak z góry, że jest on niedefiniowalny – wykracza poza dyskurs, nie da się go opisać ani podporządkować żadnym regułom. Czym więc jest i co charakteryzuje owe kobiece pisanie, temat wokół którego narosło tyle spieć?

W opozycji do hyfologii Barthes'a, który umieszcza autora wewnątrz tekstu-tkaniny, będącej dla swojego stwórcy również źródłem zagłady (pająk zatracca się, ginie w swojej sieci), Nancy K. Miller stworzyła pojęcie arachnologii, wartościujące rolę kobiet-pisarek w procesie twórczym. Kiedy Barthes uśmierca swojego autora, Miller dopiero stara się wprowadzić kobiety, dotąd wyłączone z tego obszaru, w obręb dyskursu. Arachnologia w swej genezie odwołuje się do mitu o Arachne, zdolnej tkaczce, która wskutek gniewu zazdrości Ateny popełnia samobójstwo, a w geście ukorzenia i skruchy bogini ostatecznie zostaje zamieniona w pająka, który może nadal tkąć swoją sieć. Miller zaczerpnęła z tego mitu, tworząc własną teorię, wedle której kobieta-pająk tworzy tekst niejako z własnego ciała, przelewając na niego wszystkie swoje emocje i odczucia, zacierając wszelkie granice między życiem codziennym a twórczością.

Teoria ta zarysowuje już subtelnie charakterystykę kobiecego modelu pisania, które w głównej mierze opiera się na cielesności i zmysłowości. Kobiece pisanie to więc **pisanie ciałem**, co mocno akcentowały czołowe feministki, wysuwające ten postulat, m.in. H. Cixous, L. Irigaray czy J. Kristeva. Zwracały one uwagę na fakt, że w odróżnieniu od chłodnego, wyważonego i zdyscyplinowanego stylu męskiego, kobiety pisząc poddają się emocjom, ich styl jest chaotyczny, swobodny, nieokielznany, tajemniczy, dynamiczny, żywiołowy, wręcz „dziki”. Ogniwem

centralnym, na którym opiera się kobiece pisanie, jest cielesność, zmysłowość i seksualność. Źródłem tekstów są bowiem najbardziej tajemnicze, niezgłębione sfery osobowości, często wyparte i nieświadome, powstałe przez lata dominacji mężczyzn nad kobietami, ich ucisku, zniewolenia i ograniczania. Kobieta, poprzez pisanie, ma szansę nareszcie dojść do głosu i wyrazić wszystko to, co dotąd było tłumione, przekraczając dotychczasowe tabu. Symboliczny „biały atrament”, który dotąd był przeznaczony kobietom, zostaje zastąpiony mocnym orężem. W efekcie tych niekontrolowanych ekspresji powstają teksty wywrotne, nieliniarne, rozchwiane, silnie zmetaforyzowane i rewolucyjne, po prostu: autentycznie kobiece. Tematy, po które autorki lubiły sięgać, często dotyczyły sfer niedostępnych mężczyznom: dojrzewania, macierzyństwa, przekwitania, co jeszcze silniej akcentowało odmienność stylu kobiecego od męskiego.

Prowadząc studia nad kobiecym pisaniem badaczki interesowały też aspekt źródła tych różnic, który odnajdywały w czterech modelach definiowania specyfiki pisma kobiecego, mianowicie: biologicznym, lingwistycznym, psychoanalitycznym i kulturowym. Zwracały zatem uwagę na rolę i znaczenie kobiety, wynikające z jej budowy anatomicznej, a więc na ciało, wykazywały zniewolenie językowe, poprzez różne męskie formy składniowe, ograniczające kobiety, zwracały się w stronę psychoanalizy, zwłaszcza lacanowskiej, oraz akcentowały rolę doświadczeń i historii kobiet na przełomie wieków. Wszystkie te obserwacje owocnie wpływały na rozwój krytyki feministycznej i dostarczały materiałów do kolejnych badań.

Krytyka feministyczna polega przede wszystkim na analizowaniu i odbiorze dzieła, z uwzględnieniem języka, teorii i badań literackich z punktu widzenia doświadczenia kobiecego – a więc wprowadza nowe sposoby rozumienia i interpretacji utworów, podkreślając różnice płci i badając ich korzenie. W konsekwencji tych badań i ustaleń zrodził się nurt, w którym na plan pierwszy wysunęła się kobieta – dotąd milcząca, pod restrykcyjnym wpływem mężczyzny, teraz gotowa na zabranie głosu i pokazanie swoich możliwości i atutów.

(Na podstawie: A. Burzyńska, M. P. Markowski: *Teorie literatury XX wieku*. Kraków 2006.)



Babskim okiem

Katarzyna Sternalska

Mój mąż to choleryk. Wkurwia się o każdą pierdołę. Ostatnio byłam z Magdą na zakupach. Oczywiście miało być na chwilę... Nasza chwila trwała cały dzień. Przecież musieliśmy przymierzyć ciuchy, bo kupowanie na oko nigdy nie kończy się dobrze. W każdym bądź razie... Kiedy już wróciłam do domu, zastałam Konrada wzburzonego.

– Gdzie byłaś tyle czasu? – pyta, jakby nie wiedział. – Dlaczego nic nie mówisz? – atakuje mnie dwie sekundy później. Nawet nie zdążyłam oddechu złapać!

– No może powiesz coś w końcu? – przesywa mnie tak swym zielonym spojrzeniem, więc podchodzę do niego bliżej, cmokam ten zarośnięty policzek i mówię: – Witaj, skarbie.

Jego mina? Bezcenna.

Ponadto jest taki pedantyczny! Mój Boże... Ja zem jest dusza artystyczna! Wiadomo... Czasem pobujam w obłokach. W końcu na huśtawki to już mnie wiek nie chwyta. I dlatego tam, gdzie zaczynam pracować, robi się wielgaśny burdel. A Konrad wracając z pracy, oczekuje, że będzie miło, czysto, przyjemnie. Obiad gotowy... Pranie wyprasowane... Po prostu jakaś idylla. A ja jestem tylko kobietą! Skoro pracuję, nie mogę jednocześnie sprzątać i gotować, no i oczywiście utrzymywać tego porządku na biurku. Wścieka się w milczeniu. Do rękoczynów nie dochodzi. Bo powtarzam mu, kiedy przybliży się do mnie z taką surową miną, że tatuś nadal ma kontakty w policji i prokuraturze, więc niech przemyśli swój następny krok. Wtedy idzie do kuchni, otwiera lodówkę, wyjmuje sobie piwo... I tak ciężko wzdycha, odwracając wzrok od tego bałaganu. Naprawdę... Czasem mi go szkoda.

Zdarzyło mi się kiedyś wyjść na spotkanie integracyjne. Nie dość, że zapomniałam wziąć komórki, to jeszcze klucze mi się gdzieś zapodziały i kiedy około trzeciej nad ranem chciałam wejść do domu, musiałam pocałować klamkę. Mojego męża nie było. Telefonu nie miałam. A że byłam lekko wstawiona, to za

bardzo nie chciało mi się spacerować, więc usiadłam tak sobie na schodkach i zasnęłam. Miałam taki piękny sen... A tu coś mnie nagle szturcha. Ktoś coś próbuje do mnie mówić. Otwieram oniemiała oczy i widzę, jak Konrad kuca przy mnie, blady jak ściana, roztrzęsiony... I szepce do mnie:

– Kaśka, ja cię kiedyś zabiję.

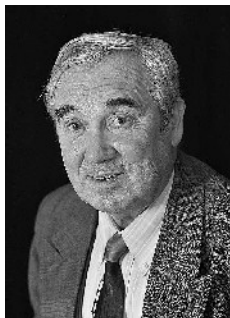
Dopiero gdy już się wyspałam i w miarę zaczęłam powracać do normalności, okazało się, że ktoś zadzwonił do Konrada o drugiej w nocy, by ten po mnie przyjechał. Ja wtedy, nie mówiąc nic nikomu, z klubu już wyszłam i podreptałam do najbliższego postoju taksówek. Z mężem się mineliśmy. W klubie zrobił się nagle jakiś raban, bo Kaśki nie ma... Dobrze, że policji nikt nie wezwał.

Kiedyś koleżanka pyta mnie, czy nie przemknął mi przez głowę rozwód. Rozwód... Co prawda, mamy te swoje kryzysy. Przekrzykujemy się nawzajem. Nawet zdarzyło nam się nie odzywać do siebie przez ponad tydzień! Wyprowadziłam się wtedy do matki. Boże... Co to był za koszmar. Chciałam pomyśleć w spokoju, a ta mi dzień w dzień suszyła głowę.

– To wy się teraz rozwiedziecie? Po tylu latach... Kasiu, weź to siebie przemyśl. Już taka młoda nie jesteś. Nie żebyś była brzydka, ale... Wiesz jak teraz trudno o męża? – Karmiła mnie tymi tekstami dzień w dzień!

Gdyby samotność nie była tak przeludniona, to może i bym się rozwiodła. Ale... Kocham Konrada. I on kocha mnie. Mimo że czasem ze mnie straszna żoźza.

Alfons Soczyński (Alf)



Sylwetka: Urodził się w roku 1940 w Kamiennej Górze na Wołyniu. Po spaleniu wsi przez ukraińskich nacjonalistów szukanie miejsca na świecie zajęło mu wiele lat i rzuciło do wielu miejscowości w lubelskim, na Pomorzu, Warmii i Mazurach oraz Śląsku, by pozwolić mu w 1971 roku osiąść, prawdopodobnie na stałe, we Wrocławiu. Debiutował trzema wierszami we wrocławskiej „Odrze” w roku 1976. Po dwudziestu latach milczenia przystępuje do intensywnej twórczości. Publikuje swoje utwory na łamach „Akantu”, „Dekady Literackiej”, „Promocji Pomorskich”, „Dzikiego Życia”, „Własnym Głosem”, „Głosu Milicza”, „Żołnierskiej Rzeczy”, „Radostowej” oraz w kilku piśmiech w Australii, USA, Kanadzie i na Ukrainie. Jego twórczość opiewa piękno przyrody, porusza problemy egzystencjalne, tropi zagadki przeszłości, zwłaszcza związane z Kresami Wschodnimi RP, poszukuje głębszego sensu ludzkiego życia i jego więzi z misterium kosmosu.

DOROBEK LITERACKI:

Poezja:

Od ściany do ściany
Wołyńskie niezabudki
Fazy księżycyca

Proza:

Kwadryga z ojcem
Krośnickie zauroczenia
Krew i ogień
SUAZI. Siedemdziesiąt obrotów Alfa

Cykl o Kresach:

Kresy – przywracanie pamięci cz I. i cz. II
Okruchy krainy Soczi
Szumszczyzna w jeden dzień

Krwista i kwiecista

nie ustaję w miłowaniu Cię
ni jednej sekundy
nawet gdy czasem ranię

miliarda wspólnych sekund
nie zliczę w biegu
płyną wciąż nowe i nowe
a mnie i Ciebie i czasu z Tobą
wciąż mało

czemu czasem
z powodu lub bez
błąkam się
wracam Ty w kwiatach
w ranach
zadanych Ci słowem lub czynem

my dawno dojrzali
nasza miłość wciąż młoda

krwista i kwiecista

W Paryżu

jesteś moją Paryżanką
jedyną
w stolicy spróbować
po francusku wypada
wejść na Mountmartre
w Luwrze Mona Lisa
mruga tylko do Ciebie
Sekwana jakby łąsi się
tylko do Twoich stóp
Plac Pigalle figlarnie wabi
zbyt dosłowną nagością
rozśmiesza nie bawiąc

jesteś jedyną Paryżanką
na mnie tak pięknie
poirytowaną
moje roztargnienie
i znowu pobłądziliśmy
nie pomogły przewodniki
ani stalowa dyscyplina
Wieży Eiffła

Ulubiona fotografia

czerwone róże
Twoja sukienka czarna
zielony krzak
nad krzakiem róże królują
czerwień obejmuje Twoją twarz
rozpromienioną
czarna sukienka
przyciąga wzrok
a twarz
wabi słońce

z boku jakiś siwiejący pan
chyba wrażliwy czuł
na czerwone i czarne
w tle chatka drewniana
drzewa rzucają na nią cień
fotograf nie zostawił cienia
w ogrodzie na trawie



Nasz pierwszy las

już w czerwcu
znalazły nas pierwsze grzyby
szare zajączki

w lipcu sierpniu
choćby na koniec świata
pośród leśnych skrzatów

maluchem po wybojach
grzęznącym
w błotach dziurawych
przez mostki drewniane
na drugą stronę
tajemnicy

cały czas przez las
nie mający końca
ani początku
tylko wciąż środek
podgrzybkowy prawdziwkowy

oswajamy świat
na nasze stworzenie

chatka myśliwska
gdy już braknie sił
znajduje się
jakby sama

Budczyce, koniec lata 1986

Dnieprem

tu gdzieś nad Dnieprem
pradziad poił konie

a my od Kijowa
złotych kopuł
białym statkiem
suniemy płynnie
rozlewistą nitką rzeki
przez Kaniów Czerkasy Zaporozie
przez zapomniane dzieje

zanurzeni w muzyce
czerwonym winem
słońcem rozgrzani
w bukietach kwiatów
na pragnień wietrze

przez kozackie porohy
ciągnie się smuga piany
do snów białej Odessy

bosymi stopami tańczymy
w takt gorących piasków
Morza Czarnego

MojaWyspa (DS)

O sobie: Jestem z pokolenia dinozaurów – być może to warunkuje mój styl pisanania – nie drażę zakamarków duszy w poszukiwaniu monumentalnych przeżyć i nie usiłuję wyrażać ich w skomplikowany a niekiedy wręcz karkołomny sposób – łapię ulotne momenty, chwile jak błyski stroboskopowego światła, które czasem oślepiają, a czasem przez jedno mgnienie stają się objawieniem... żywię się wrażeniami, plamkami światła, odpryskami czasu zawartymi w obrazach widzianych czy to na jawie, czy też tylko we wspomnieniach...

Co jeszcze o mnie? Mam na imię Danka – od zawsze mieszkam na Podkarpaciu, z dala od hałasu cywilizacji i cudów techniki – i to mi bardzo odpowiada, chociaż czasami mam wrażenie, że nie nadążam za rzeczywistością...

Pracuję, mam kilka swoich koników, które uwielbiam – i tak:

fotografia – nałogowo oglądam i kolekcjonuję, usiłuję także próbować sił jako autorka zdjęć – z różnym skutkiem; książki – wielka pasja – beletrystyka, ale nie tylko czytadła; również poradniki, słowniki, encyklopedie, albumy; poezja – od klasyki po współczesność – Gałczyński, Pawlikowska-Jasnorzewska, Twardowski... piszę sobie a Muzom i to mi – jak na razie – wystarcza; doceniam dobrą rozrywkę kabaretową i radiową (kocham Pana Sułka) zbieram i kolekcjonuję przysłowia, porzekadła, aforyzmy i cytaty; kocham koty – wszystkie; mam małe rude niereformowalne szczekadło – Julkę; lubię gotować – preferuję rzeczy proste, sprawdzone – ale nie stronię od niewielkich eksperymentów; charakter – jak pogoda: nieskomplikowany ale trudny czasami do zniesienia – raz słońce, raz deszcz... niekiedy burza z piorunami, a czasem tylko mgła albo smutne zawrozczenie wiatru....

Powrót

I doczekałam się. Wróciłeś. Jesteś.
Znów jesteś moim światem.
Jesteś obłokiem, białym kwiatem
i wodą, z której biorę siłę.

Wróciłeś srebrzystością trawy,
zapachem łąk skoszonych świtem,
sercem słowika, bzu rozkwitem,
księżycą sierpem niebieskawym.

Wróciłeś we mnie jasnym majem,
wiatrem płochliwym i zielonym,
półcieniem złotym i brązowym
przesianym przez wysokie klony.

Widzę cię w ciemnym lustrze wody,
słyszę cię w liściach i w poszumach,
w wiosennych ścieżek mrocznych strunach –
i pełne twoich słów ogrody...

Motyl

tak mi się dzisiaj dzień nagle rozjaśnił
ale to była ledwie tylko chwila...
w kamiennej ciszy na skraju przepaści
zaślniły skrzydła martwego motyla

zafalowały wiatru nagłym dreszczem,
zadrgały w słońcu tęczą zmatowiałą,
zdały się płynąć lekko przez powietrze –
iluzja chwili trwała wieczność całą;

deszcz płatków wiśni opadał powoli
motyl wraz z nimi wirował, choć nie żył...
dlaczego teraz tak bardzo mnie boli
czas, w który ciągle nie mogę uwierzyć,

że był, że istniał – że trwał między nami
jak smuga światła w mrocznej głębi jaru,
że to ja spadam z martwymi płatkami –
motyl zabity kaprysem słów paru

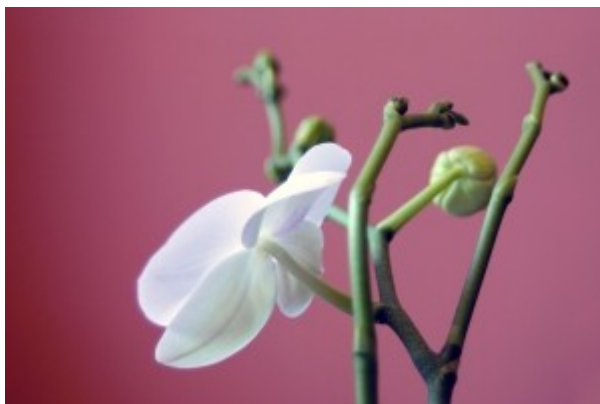


W snach

tamtego lata w kwiatkach tonął ogród
a w stawie kusił wody ciemny jedwab;
o zmierzchu zapach wciąż się ślizgał po dniu,
który dogasał w uciszonych drzewach

pamiętam siebie – dziecko smutnookie,
które już wtedy znało swą samotność –
żyjąc wśród marzeń, z ich złudnym urokiem,
wciąż potykając się o tę ulotność

dziś snów latawce czasem mnie tam wiodą –
w tamte odległe, zapomniane lata,
znowu – jak wtedy – schylam się nad wodą
i swego szeptu nad słuchuję w kwiatkach...



Zmęczone serce

nie umiem pływać,
mam lęk przestrzeni,
serce życiem zmęczone;

mam swoje miejsce
wśród starych cieni –
tę swoją ciemną stronę

jak smutny kamień
mchem otulony –
przywykłam już do mroku

dziś mnie nie kuszą
nieznane drogi,
bo oswoiłam spokój

czasami tylko
trochę mi szkoda
miłości niezdarzonej –

czasu mam jednak
już tak niewiele –
serce życiem zmęczone...

Nie powiem

dzisiaj udaję przed sobą, że mogę
spokojnie patrzeć na niebo nad lasem
ale... tak jakoś... oczy nagle mokną,
niepokój duszę połaskocze czasem...

obłoki rzeźbią w błękitnie witraże,
zdobią zadumą południa żar biały –
brakuje czegoś w tym jasnym obrazie,
choć na pozór – niby doskonały...

nagle rozumiem... lecz głośno nie powiem,
żeby nie płoszyć tej myśli słowami
i dzięki temu nigdy się nie dowiesz,
co odleciało w przestworza z chmurami...

Po miłości

miłość nie umiera –
wypala się
żarem słów daremnych,
niepotrzebnych gestów

robi się coraz zimniej
w skaleczonym sercu,
piecze
wstyd,
żebrze pokora,
rośnie milczeniem
drzewo
twojej niechęci,
kolczasta
smutna gorycz
wczepia się we włosy –

patrzysz
jak obcy
przez szybę
mojej twarzy

Bańka mydlana

Isztar

znalazłam świat baniek mydlanych. jasny, pełen życia, pulsujący kolorem. można było do niego zajrzeć przez okno. można było patrzeć na tych, którzy byli w środku. nie można było do niego wejść.

drzwi ktoś dawno temu zamknął na ogromną kłódkę. nie pomogło stukanie w okno (delikatne, by nie zbić szyby, która dzieliła mnie od ciepłego wnętrza). nie odważyłam się załomotać w drzwi. przecież i tak nikt by mnie nie wpuścił – kłódka wisiała przecież po mojej stronie drzwi.

i tylko nie wiem, kogo było mi bardziej żal. siebie, marznącej na ulicy i tak łapczywie patrzącej na tamten kolorowy pokój? a może tych roześmianych, zarumienionych, pełnych życia, którzy na zawsze utknęli w tamtym kolorowym, ciepłym miejscu?

odeszłam. lepiej szukać otwartej bramy, choćby miała być najbardziej ob-skurna, niż dać się zamknąć w jednej z baniek mydlanych.



Ukojenie

Beata Szymura

potem był las i ona leżała w nim, zapadała się w jego struktury. Wygładzała fałdy sukienki tak, że wyslizgiwała się objęciom wiatru, traciła materię, realność, zakopywała się w kręty wąwóz, który działał się poza światem, poza słońcem, tam, w ciemności czarniejszej niż śmierć. Dlaczego miałyby się bać? – gdybyś spytał, nie znalazłyby słów, by odpowiedzieć. Po Tym nie bała się już niczego, wszakże strach wrósł w jej serce, był immanentny jak krew albo szarość, czaił się w przedsionku. Powieki wywróciła na drugą stronę – powiedziała sobie, że jej oczy nie będą zamykać się do środka, ale na zewnątrz, bo przecież musi być czujna, musi obserwować. Noc była ruchem, a ona nie dopuszczała nieznanego: chciała mieć świadomość wszystkich bliskich i dalszych, gorzkich i cierpkich – bo tam nie było innego smaku – wrogich i zdradziecko przychylnych, wszystkich tych twarzy.

On powiedział jej kiedyś, że przyjdzie – w momencie, w którym będzie się tego najmniej spodziewać, w którym pomyśli, że to koniec i noc już pochłonie ją na zawsze, kiedy krzyk będzie tak codzienny, że już w nikim nie wywoła gęsiej skórki, nawet w niej samej, wtedy nadejdzie – odkopie ją, będzie przerzucał gruzy ziemi, wyszukiwał pomiędzy martwymi, dzikimi korzeniami jej stóp albo włosów, wyratuje. I będzie delikatny, użyje tylko rąk, żadnych topornych narzędzi, od których ona ma sińce i blizny na rękach, udach, w środku. Będzie przeproszał, że czekał, że tyle to trwało, ale inaczej nie mógł: szukał jej długo, przemierzył wiele dróg, słuchał jej nawołań, wciąż zbyt głuchych, wciąż za odległych, wiedząc jednak, że zdąży przed Ostatecznością, że będzie w sam raz; trzymając się tej myśli.

Teraz poczuł jej zastygłe serce pośród lasu, jej krew zagotowaną w tych trawach, drzewach i w mchu, poczuł ją i wydobył – wprawnie, bez zadr. Gdzieś pośród słonych fal morza jest jedna mała wyspa, nie dosięga jej gniew, nie ma tam nienawiści – tam rozłożył jej ciało, tam wybudował jej schronienie, zapalił światło. Budzi się – czy wiesz, jaka jest piękna, kiedy opada z niej zło? Tu nie ma nic

mrocznego, smutek zaraz ginie od nadmiaru dobra, więc jej przywracające do życia serce, epatuje szczęściem. Patrzy w jego oczy, „przyszedłeś” – mówi, z tym wyrazem błogości na twarzy, a potem jest już tylko Dzień, i Oni.



Nadal jest

Katarzyna Sternalska

– Jaka ona była?

Wiedział, o kogo pyta. Po raz pierwszy dostrzegł na twarzy syna tęsknotę, którą trudno jest opisać nawet w kilkunastu słowach. Przez dłuższą chwilę milczał, zastanawiając się, co powiedzieć. Chociaż nie było jej już dwadzieścia jeden lat, ciągle miał w pamięci kształt ust, które układały się w niemym słowie „kocham” każdego poranka. To powitanie dawało im nadzieję na cały dzień. I chociaż bywały czasy, kiedy widzieli się zaledwie godzinę w całym dniu... Dla nich ta jedna godzina trwała wieczność. Tam nie było terminów, spotkań, napiętego grafiku. Byli oni. Zapatrzeni w siebie, tak jak pierwszego dnia, gdy Maryś – tak właśnie do niej mówił – niechcący wylała wino na koszulę, którą zaledwie kupił dzień wcześniej. Te zielone, kocie oczy wpatrzone były w niego z lekkim strachem. Później dowiedział się, jak bardzo była przerażona, że na nią nakrzyczy, robiąc srogą awanturę. Nie lubiła tego. Nie lubiła, jak ktoś podnosił głos. Wydawało jej się wtedy, że cały świat zamiera w ciszy, a dwie osoby zaczynają przekrzykiwać siebie tylko po to, by zranić się jeszcze głębiej. Krzyk najszybciej dociera do serca, podnosi ciśnienie i zmienia twarz. Uśmiech zanika w okamgnieniu, a to, co jeszcze chwilę temu wydawało się bliskie, jest miliardy lat świetlnych od nas. Nie cierpiała, gdy ktoś był na nią zły. Przez głowę przelatuje wówczas milion myśli, których nie można ubrać w słowa. Są one zbyt nagie, by je wypuścić na światło dzienne. Stawała się wtedy taka obca. Nie smutna, bo zrobiła coś źle lub powiedziała o jedno słowo za dużo. Była obca, milcząca i daleka, nieobecna duchem. Jakby... w tamtym momencie ważyła każde słowo. Jakby... to „przepraszam” było na wagę złota. Jednakże mało było tych chwil, kiedy nie potrafili się porozumieć. Dużo milczeli. A sam fakt, że byli w stanie milczeć bez skrępowania, każdą ich mowę obsypać można by srebrem. Nienawi-

dziła złota. W drewnianym kuferku, które dostała na drugą rocznicę ich małżeństwa, trzymała mnóstwo kolczyków, bransoletek, naszyjników. A wszystkie srebrne. Miała swoje ulubione zestawy. Na urodziny zawsze zakładała prosty naszyjnik z maleńką perełką, która również przyozdabiała jej uszy... Lubiła, jak ktoś bawił się jej włosami, które w blasku słońca miały rudawy odcień, nocą zaś przechodziły w intensywny brąz. Z przymkniętymi oczętami, zaczynała się tak słodko uśmiechać... Jakby ktoś przychyłał jej nieba. Była piękna, gdy się rumieniła. Po stosunku, kiedy łapali razem oddech, wszystkie problemy na te kilka chwil znikwały. Byli oni, w tańcu swych ciał. W rumbie swych zmysłów. Namiętni i tylko dla siebie...

– Tato? – zaniepokojony ciszą Łukasz spoglądał badawczo na ojca.

– Synu... Twoja mama nie była... Bo nadal jest. Jest piękna i nawet tam w niebie nie potrafi gotować. Mam jednak nadzieję, że tak jak i mnie, tak i Anioły zawstydzą, grając liryczne ballady na swej wiolonczeli.



Wyłącznieść

Beata Szymura

dziewczynka nie ma nikogo, świat nie rozciąga się poza Jego serce – są tylko oni, na planecie zasianej w słowie. Wyjście grozi poparzeniem, ona o tym wie, ma jeszcze stópki pokaleczone ostatnią próbą nawiązania jakiegoś kontaktu. Potłukła się, wtedy przyszedł chłopczyk, złożył z jej fragmentów całą konstrukcję na powrót, dodając coś od siebie. Zamienili się tkaniami, zlali swoją krew. Są jak Jedno, dlatego ona boi się oddalać; wtedy czuje się tak, jakby przepadło coś istotnego, jakby umknęła jej ta najważniejsza część. W ich małym, ale uroczo ułożonym świecie nigdy nie ma nocy – są co najwyżej wieczory, rozciągnięte aż do poranków; wtedy obserwują zachody słońca, bo to coś, co nieustannie ją urzeka – tę grę kolorów malowaną na niebie. Oprócz tego mają leniwe poranki, w blasku zawsze promiennego słońca, spędzane w swoich ramionach: on śmieje się, licząc jej piegi na policzkach, a ona uczy się na pamięć kolejności iskier, zapalających się w jego oczach na zmianę, wraz z jego nastrojem. Są sobie Blizsi niż dwie sąsiednie rzęsy, okalające jej radosne oczy. Nie ma między nimi żadnych barier, wątpliwości i strachu. Istnieją dla siebie. Potem są dni, układają z nich własną biografię; ma być cicha, łagodna i harmonijna. Chłopiec wyzuwa, kiedy zaczyna drżeć jej dolna warga, co zwiastuje jakąś silną, negatywną emocję, która nią targa, i szybko przeciwdziała: bierze ją za rękę – to zawsze działa. Ona musi czuć, że nie jest sama, że ma Go przy sobie; inaczej to nie miałoby sensu. Uzupełniają się w doskonały sposób, tak że niczego im nie brakuje.

To, co na zewnątrz, wystarczająco wiele razy dało w kość, pogruchochało – nikt za tym nie tęskni. Ona unika nowych ran, nie pamięta już jak to jest, gdy boli, nie chce więcej doświadczyć tego na własnej skórze. Ci ludzie tam, oni nigdy nie rozumieli, zdaje się mówić, oni nie potrafili pojąć jej serca. Jak dobrze, że w chłopcu ma wszystko, czego potrzebuje.



Katarzyna Daniel > Porcelanowy chłopak

O sobie: Kocham życie, zwierzęta i ludzi. Mam czterdzieści osiem lat i duszę dziewczynki. W połączeniu z prawie półwiecznym doświadczeniem, daje to niezły mix :) Wygląda to tak: prywatnie drobna blondynka, ruchliwa jak pchła, ciekawa wszystkiego i pchająca palce między drzwi; oficjalnie belfer wykładający jeden ze ścisłych przedmiotów.

Katarzyna Daniel to mój pseudonim. Jeśli jest się nauczycielem i wychowawcą młodzieży, trudno pod swoim nazwiskiem wydawać książki takie jak *Porcelanowy chłopak*.

Czemu?

To proste. Nauczyciel może napisać ociekający krwią kryminał o morderstwach popełnionych przez psychopatycznego zabójcę. Może namalować nabite na pal Madonny. Ale nie może napisać o seksie. Nawet w XXI wieku. To temat tabu. Nauczyciel jest osobą bez płci, pragnień, nie ma życia osobistego, nie uprawia seksu, a jeśli nawet, to o tym nie pisze. Zwłaszcza o seksie dojrzałej kobiety i młodego mężczyzny.

Skąd wiem?

Kilka lat temu jedna nauczycielka napisała książkę *Striptizerka* i zniszczyli ją. Znaczy – nauczycielkę, nie książkę. Jak na razie stopy jeszcze nie płoną...

O książce:

Jak powstała moja powieść?

Założyłam profil na bardzo znanym portalu randkowym i napisał do mnie przeuroczy dwudziestotrzylatek. W książce opisałam nasz romans. Krok po kroku. Pisałam o tym jak budziły się nasze zmysły, uczucia, jak żyły i ewoluowały od nieśmiałych dotyków, pocałunków, przez coraz śmielsze pieszczoty, aż do seksu. A potem do prób stworzenia trwałego związku. Skazanych z góry na niepowodzenie. O czym ja wiedziałam, a on nie.

I w tym momencie należy sobie przypomnieć, że Sienkiewicz nie był pod Grunwaldem. Ale jak przekonująco pisał! Nie?

Porcelanowy chłopak nie jest powieścią pornograficzną, ale kamera nie najeżdża na firanki, w momencie gdy bohaterowie toną w namiętności. Nie jest też poradnikiem, ale w zamierzeniu chciałam, by przeczytali ją także mężczyźni. Zwłaszcza ci, którym się wydaje, że posiadanie penisa i kondycji fizycznej pozwalającej na zrobienie kilku pompek – to przepis na udany seks.



Katarzyna Daniel
Porcelanowy chłopak

My Book 2010

127 stron

Do kupienia na www.mybook.pl

Fragment książki:

Chciałabym na chwilę ubrać się w jego oczy i spojrzeć nimi na siebie. I zobaczyć tę Gosię, którą on widzi. Ja widziałam codziennie w lustrze kobietę, której ciało okres świetności ma już za sobą. W oczy kłuły ślady po dłucie życia, które rzeźbiło mnie powoli, ale systematycznie. Każdego dnia znajdowałam nowe. Miałam je starannie skatalogowane, a lista pozycji wydłużała się.

Oparł się o poduszkę, patrzył i mówił. A ja zastanawiałam się, jak to możliwe, żeby w ułamku chwili człowiekowi przebiegło przez głowę tak dużo myśli, żeby zdążył je zarejestrować, odczytać, zrozumieć, poselekcjonować i jednocześnie kontynuować rozmowę, nie robiąc przerwy. No i śledzić wypowiedzi drugiej strony. Słuchałam, co mówi, i patrzyłam na niego. Jego pięknie wykrojone usta delikatnie się uśmiechały. Długa, postrzępiona grzywka do połowy zasłaniała oczy o brązowych tęczówkach ocienione gęstymi rzęsami i ciemne brwi prześwitujące przez luźne kosmyki. Piękny chłopiec. Poczulałam się jak dziewczyna-

na. Nagle zerwał się, pociągnął mnie za rękę w kierunku dużego lustra w drzwiach szafy.

– Patrz, Gosiu, patrz, przyjrzyj się – ustawił mnie na wprost tafli. – Jesteś piękna. Brzuch, nogi, wszystko – powiedział, stojąc za mną i gładząc mnie rękami po ramionach.

Ja – czterdziestosześcioletka. On – dwudziestotrzylatek. I on wygłasza hymny o mojej urodzie i o moim ciele. I robi to z zachwytem i bez złych podtekstów. Szczerze i autentycznie. Skąd to płynie? Na pewno nie z samych ust. On to wylewa z serca. Nagle dotarło do mnie – on nie patrzy oczami, on patrzy sercem – i przestraszyłam się tej myśli. Boże! I co teraz?

Chociaż uciekał przed tą miłością, to teraz jest tu ze mną. Nie wolno mi go zranić. To raczej ja powinnam ponieść koszty. Dam radę. Potem się będę martwić. I uśmiechnęłam się do niego. Wróciliśmy do łóżka. Siadłam na nim i zaczęłam go całować. Oddawał pocałunki. A ja oddałam mu inicjatywę. Chciałam, żeby sam rozpakował mnie do końca, sam nauczył się na mnie kobiety. Według własnej fantazji.

Efekt przerósł wszelkie moje wyobrażenia o seksie z mężczyzną, który pierwszy raz...



Marzena Indra > Koniczyna

O sobie: Kim jestem? Dla racjonalistów: panną, córką, siostrą, dziewczyną. Znajomą, koleżanką i przyjaciółką. Powiernikiem, doradcą. Czasem przewodnikiem, czasem przodownikiem. Magisterium uzyskane z Zasobów Ludzkich, pozostałe naukowe papierki dotyczą nauk „pomagistralnych” – Dziennikarstwa, PR-u czy Business English. Jestem wysoka, brązowooka i najczęściej uśmiechnięta. Wierzę w człowieka i jego serce.

Dla całej reszty: jednostka odczuwająca permanentny głód emocji. Nieustanną ciekawość drugiego człowieka. Chłonę ludzkie historie, rzadko potrafiąc się nasycić.

Drugi człowiek. Ktoś taki, jak ja. Tylko zupełnie inny. Jakieś wady, może zalet. Jakieś gusta, czasem guścik. Ciekawy w swym żalu, ale i nietłumionej radości, niezależnie od opakowania i stanu posiadania. Wymarzone zajęcie? Spotkać tych, którzy chcieliby mi powierzyć swoją historię. A potem to uwiecznić.

Dla wszystkich: miłośniczka czekolady w każdej postaci.

O książce: Jaki jest świat, każdy widzi. Ale każdy widzi go inaczej – powiedział kiedyś ktoś. I myśl ta, choć zasłyszana całkiem niedawno, mogłaby się stać przewodnią, w odniesieniu do moich *zapisków*. Wszystkich – tworzonych onegdaj recenzji książek, pierwszych nieśmiałych felietonów, opiniotwórczych artykułów i mniej znaczących artykułików, czy wreszcie samej *Koniczyny*. Mojej pierwszej powieści.

Powstała z potrzeby serca. Liceum spędzone w gronie czterech fantastycznych kobiet, moich najlepszych przyjaciółek – zarówno wczoraj, jak i dziś, po latach zaowocowało opowieścią o przyjaźni, miłości, ale i o cierpieniu, o braku wiary we własne możliwości, o poszukiwaniu swojej drogi. W *Koniczynie* starałam się zawrzeć wszystko, co ważne. Pytania o sens – czy można budować swoje szczęście na nieszczęściu innych? Ale i kwestie zupełnie prozaiczne – jak dieta, zakupy czy pierwsza praca. To powieść o kobietach. Pięciu młodych, niepospolitych,

wrażliwych jednostkach. Żyją w tym samym mieście (choć nie razem), zdobyły podobne wykształcenie (lub nadal się kształcą), chcą się zakochać (lub są zakochane), odchudzają się (lub rzucają dietę), pracują (choć nie zbijają kokosów) i żyją (ŻYJĄ!). Chodzą tymi ścieżkami, na których pokonanie w danym momencie pozwala im sumienie i wartości moralne. Idą, kroczą, potykają się i upadają, ale częściej ze śmiechem wstają, niż ze łzami. I otrzepując kolana, przytrzymują się ramienia najbliższych. I idą dalej. Wierząc, że szczęście przydarza się tylko tym, którzy stworzą ku temu okoliczności.



Marzena Indra

Koniczyna

My Book 2008

133 strony

Do kupienia na www.mybook.pl

Fragment książki:

Ponieważ mam do załatwienia to i owo na mieście, obiecuję mamie, że zajrzę do banku sprawdzić, czy przyobiecana wieki temu karta bankomatowa jest już dla niej gotowa, bo przyrzekła odebrać ją osobiście, więc równie dobrze mogę ją odebrać. Wkraczam do budynku zamaszystym krokiem, od razu zostaję skierowana do pana Zawadzkiego, który, jak informuje mnie pani na recepcji, zajmuje się właśnie kartami. Szukam w gąszczu głów za stołami potencjalnego pana Z., kiedy wzrok mój pada na niezwykle interesującego młodego mężczyznę, pracownika banku.

– Przepraszam bardzo, szukam pana Zawadzkiego, może mógłby mi pan pomóc? – pytam słodko.

– Witam, dzień dobry – odpowiada z uśmiechem.

W tym momencie zgłupiałam na kilka długich sekund. Jak to tak? To pracę dostałam, a jeszcze los pcha mi w ręce TAKIEGO faceta? Toż to nie może być!

Postanawiam szansy jednak nie zmarnować i nie zachowywać się jak głupia idiotka.

– Ja w sprawie karty, którą chciałabym odebrać w zastępstwie za mamę.

– Dobrze, że nie męża, bo chyba bym nie wydał – odpowiada gładko pan Z. i puszcza oko.

No, no, no – ładnie się zapowiada! Kiedy sprawdza moje dane w systemie, kątem oka zerkam na jego dłonie – obrączki ani śladu! Ale kto go tam wie. Już z jednym czarodziejem miałam do czynienia!

Wychodzę z banku. Nie, raczej unoszę się pięć metrów nad ziemią! WZIAŁ MÓJ NUMER TELEFONU! WZIAŁ MÓJ NUMER TELEFONU! WZIAŁ MÓJ NUMER TELEFONU! Przepraszam, czy ja już wspominałam, że życie jest piękne?!!! Ledwo dochodzę do domu i już dostaję SMS-a. Bankowiec. Wspomina, że dawno nie miał tak uroczej (UROCZEJ!!!) klientki i ciekaw jest, czy lubię kawę z whisky. I że chętnie by się o tym przekonał jak najszybciej i co ja na to. Nie wiem, czy lubię kawę z whisky, bo nigdy takiej nie piłam. Ale przecież mu tego nie napiszę! Postanawiam wykazać się pełną dyplomacją i odpowiadam, że kawa to mój ulubiony napój. Umawiamy się na wieczór w dniu następnym – juhu!!!

Jestem najszcześniejszą osobą na świecie – taka myśl towarzyszy mi już od przebudzenia. Dość późno poszłam wczoraj spać, bo musiałam jeszcze pogadać z dziewczynami, o tak zwanych sprawach bieżących. Najpierw opowiedziałam wszystko Brudce, później Milenie, a później starałam się dodzwonić do Wery, ale ta miała jakieś kłopoty z zasięgiem, bo u jej Łukasza, który mieszka pod Warszawą, dobrze słyhać, co mówi rozmówca, tylko w niektórych miejscach domu, tudzież działki. Tak więc Wera biegała od krzaczka do krzaczka, usiłując złapać zasięg, a z uwagi na bezsensowność poczynań poprosiła o SMS-a z niusami. W ciągu piętnastu minut od jego otrzymania, oddzwoniła, mówiąc, że Łukasz mało jej nie zabił na wieść, że koniecznie musi jechać gdzieś w poszukiwaniu budki telefonicznej, bo rozmowa ze mną jest absolutnie niezbędna. Na szczęście krzywdy jej nie zrobił i spokojnie przeczekał, aż do końca wygada swoją trzydziestominutową kartę. On chyba nie rozumie, jak to jest być dziewczyną, która umawia się na randkę swojego życia! Przecież ja nie wiem, w co się ubrać! Niby mam jakieś preferencje co do kreacji, w której czuję się najlepiej, ale to nie znaczy, że inni też tak uważają! Więc kogo mam się wypytać, jak nie moich ukochanych przyjaciółek? Szkoda tylko, że wyniknęło małe zamieszanie, bo Brudka

z Mileną zgodnie stwierdziły, że jeansy plus zielona koronkowa bluzka są absolutnie the best, a Wera obstawiała wersję bluzki w kolorze ecru, wespół z brązowymi rybaczkami. Brudka stwierdziła, że Wera chyba upadła na głowę, bo primo jest za zimno, a secundo to zbyt elegancko i że jeansy spokojnie wystarczą. Co na tą replikę by odpowiedziała Wera, już nie mogłam się dowiedzieć, bo po wygadaniu limitu karty automat beczelnie nam przerwał. Tak więc przegadawszy około dwóch godzin, po pierwszej poszłam spać.

Od rana nie mogę sobie znaleźć miejsca. Sprawdzam pocztę, czy nie przyszły do mnie jakieś ciekawe e-maile. Przyszły. Oferta namawiająca do skorzystania z kredytu, oferta namawiająca do skorzystania z kursu języka obcego (zamówienie takiego w ciągu siedmiu dni od otrzymania e-maila gwarantuje rabat w wysokości dziesięciu procent) oraz oferta jakiegoś biura podróży, które, jak można by mniemać po wstępnych informacjach, oferuje możliwość spędzenia wakacji prawie za darmo. Choć cuda się zdarzają (patrz: poznanie bankowca), to w to ostatnie nie wierzę. Idę zrobić sobie maseczkę. Najpierw ściągającą pory. Nie lubię słowa „por”. Może dlatego, że warzywo o tej samej nazwie według mnie smakuje paskudnie i stąd niedobre skojarzenia. Po ściągnięciu porów postanawiam je odrobinę nawilżyć. Robię sobie kawę, czytam hurtem wszystkie tygodniki – żeby nie wyjść na damulkę, z którą można porozmawiać jedynie o kosmetykach (dodatkowo owszem, ale nie jedynie!). Tak mijają mi miło dwie godzinki. Później robię sobie kolejno: peeling całego ciała, pedicure, manicure, maseczkę jajową na włosy (daje niesamowity połysk!), reguluję brwi, następnie kolej na kąpiel z bąbelkami. Jeszcze tylko nawilżenie twarzy i ciała i gotowe. Aha, zapomniałam o kremie do stóp! Cała procedura zajmuje mi kolejne pół dnia i w efekcie uświadamiam sobie, że mogę nie zdążyć! Piorunem myję i układam włosy, przyodziewam się w zieleń oraz błękit jeansów (ach, jak dobrze, że dobór stroju miałam już wczoraj omówiony – przecież bym nie zdążyła!) i pędzę na spotkanie.

Czekał na mnie z bukietem kwiatów... Później zaprosił do restauracji... Nie do jakiegoś podłego pubu, gdzie serwują golonkę i ruskie pierogi z zamrażarki na przemian z rozcieńczanym piwem, ale do knajpy, gdzie muzyka delikatnie szmerząca w tle nie przeszkadza w prowadzeniu kulturalnej rozmowy. Nie pamiętam, co jadłam. Michał tak się we mnie wpatrywał, że nie pamiętam nawet, co konkretnie mówiłam, a co dopiero co jadłam. Ja się chyba zakochałam...



Jak NIE pisać książki

Pewna dobra kobieta bardzo pragnęła mieć małe dziecko ale nie wiedziała skąd by je wziąć. Poszła więc do czarownicy i rzekła tak bym chciała mieć małe dziecko powiedz mi co tu robić żeby je miała? O to nietrudno odpowiedziała czarownica – mogę ci doskonale poradzić. Masz tu ziarnko jęczmienia ale to nie jest takie zwyczajne ziarnko, które sieje w polu albo sypią kurom na pokarm zasadź je starannie w doniczce do kwiatów a zobaczysz co z tego będzie. Dziękuję rzekła poczciwa kobieta i zapłaciła jędzy dziesięć groszy bo tyle to ziarnko kosztowało. Popowrocie do domu, zasadziła je starannie w doniczce od kwiatów i zaraz pokazała się mała roślinka okryła się pięknymi listkami, a w środku wyrósł jakiś kwiat złoto purpurowy, podobny do tulipana tylko zamknięty jak paczek. Cóż to za prześliczny kwiat rzekła kobieta i tak była zachwycona, że całowała złote i czerwone płatki. W tej samej chwili jednak kwiat z wielkim łoskotem otworzył się i w środku na zielonym dnie kielicha gdzie zwykle miesi się słupek kwiatowy stała sobie prześliczna mała dziewczynka. Nazwali ją Calineczką, gdyż była maluchna, jak młoda pszczołka, tylko daleko zgrabniejsza.

Przez jaką część powyższego tekstu udało ci się przebrnąć, zanim stwierdziłeś, że tego nie da się czytać? Trzy, cztery zdania? A teraz zastanów się, czy przypadkiem w ten sposób nie wygląda kilkusetstronicowy manuskrypt, który wysłałeś do wydawcy. Nawet jeśli napisałeś powieść na miarę literackiego Nobla, nie licz na to, że osoba oceniająca będzie chciała przedzierać się przez tekst pozbawiony akapitów i myślników dialogowych, pełen literówek, zlepków wyrazów i innych dziwolągów. Nikt nie wymaga od debiutującego autora perfekcyjnej znajomości zasad interpunkcji i norm edytorskich – ale pewne minimum musi być zachowane. Niechlujstwo to grzech niewybaczalny. Czy na przesłuchanie w sprawie dobrze płatnej pracy, o którą stara się kilkunastu kandydatów na miejsce, poszlibyście w brudnych butach i rozciągniętym swetrze? No właśnie. Zresztą

szacunek należy się nie tylko wydawcy. Równie porządnie powinien być przygotowany utwór, który chcecie zaprezentować w internecie.

Jak się zatem zabrać za porządkowanie swojego dzieła? Nic prostszego, wystarczy wziąć pierwszą z brzegu książkę i uważnie przyjrzeć się tekstowi: gdzie stawia się spacje (przed znakami interpunkcyjnymi czy po), jak zapisuje się dialogi itp. Tymczasem widuje się teksty, które wyglądają, jakby ich autor nie przeczytał w życiu ani jednej książki...

A oto, w telegraficznym skrócie, kilka podstawowych zasad:

- Znaki interpunkcyjne (z wyjątkiem myślnika, o którym poniżej) zawsze „przyklejone” są do poprzedzającego wyrazu, po nich natomiast następuje spacja. Błędne są zatem takie zapisy:

Co słyhać, panie tygrysie? A nic, nudzi mi się.

Co słyhać , panie tygrysie ? A nic , nudzi mi się .

Poprawnie:

Co słyhać, panie tygrysie? A nic, nudzi mi się.

- Myślnik jest kreską o podwójnej długości "-". Jest używany jako przerywnik w zdaniu i jako element interpunkcyjny dialogu. Zawsze jest po obu stronach oddzielany od liter spacjami, np.:

Biegłam, ile sił w nogach – niestety nie zdążyłam.

Myślnik często mylony jest z łącznikiem. Łącznik jest najkrótszą kreską o pojedynczej długości "-". Stosuje się go w połączeniach typu „czarno-biały”, podwójnych nazwiskach np. „Gronkiewicz-Waltz”. Po obu stronach przylega do liter łączących wyrazy, nie jest oddzielany spacją.

- W dialogach wypowiedzi poszczególnych osób rozpoczynamy zawsze od nowej linii i myślnika:

– Dawno cię nie widziałem, co się z tobą działo?

– Byłem na kontrakcie w Afryce.

- Zaimki osobowe (ty, tobie, twoje) oraz formy „pan” i „pani” w normalnym tekście piszemy małą literą. Zapis dużą stosuje się wyłącznie jako formę grzecznościową w korespondencji czy oficjalnych pismach oraz gdy chcemy w szczególny sposób podkreślić swoje uczucia (np. szacunek) do danej osoby. A zatem błędne są zapisy:

Ulicą szedł starszy Pan z piskiem.

– *Zamknij mordę, Ty głupia pajo, bo strzelę Cię w ten Twój durny pysk.* (Nadużycie dużych liter powoduje czasami, jak widać, niezamierzony efekt komiczny).

Tekst skończony. Hurra, wysyłam do wydawców! Oj, nie tak szybko. Po pierwsze, sprawdź go przynajmniej automatycznym słownikiem wbudowanym w edytor tekstu. Wszystkich błędów nie znajdzie (bo skąd komputer ma wiedzieć, że chciałeś napisać „pączki”, a nie „paczki”; oba wyrazy są poprawne), ale chociaż trochę wyczyści tekst z literówek.

Tyle o najczęściej popełnianych błędach. Jeśli chcecie, by Wasze teksty nie odstraszały wydawców, warto dodatkowo sięgnąć po solidniejsze źródła wiedzy:

Dostępne za darmo:

Słownik ortograficzny PWN: so.pwn.pl

Poradnia językowa PWN: poradnia.pwn.pl

Słownik wyrazów obcych: www.slownik-online.pl

Oraz znakomity *Słownik interpunkcyjny* pod red. J. Podrackiego i A. Gałązki, PWN, a także stary, ale wciąż aktualny poradnik *Gdzie postawić przecinek* Przytułbskich.

A zatem udanych, poprawnych tekstów i powodzenia!

Poradnik pisarza przygotowała dla Was redakcja wydawnictwa **My Book**

Drodzy Autorzy

Jeśli chcecie podzielić się własnymi doświadczeniami związanymi z pisanie i wydawaniem książek – to miejsce czeka na was.



Sabina Berman: *Dziewczyna, która pływała z delfinami*

Katarzyna Pessel

Ludzie różnią się od siebie wzrostem, kolorem włosów, skóry, jedni mają piegi inni zielone oczy, ale to tylko zewnętrzne cechy, ważniejsze różnice kryją się głębiej. Czasem są mało zauważalne, umykają pośród wyćwiczonych i powtarzalnych odruchowo zachowań.

Jesteśmy do siebie podobni, widzimy swoje odbicie w innych ludziach i wszystko jest mniej lub bardziej przewidywalne, wiemy jak zareagować na gniew, radość i obojętność ze strony otoczenia. Jak się jednak zachować, gdy spotykamy kogoś, kto odróżnia się od tego wszystkiego, co uznajemy za normę? Kto jest dla siebie mikro- i makroświatem, a nas nie zauważa? A może wszystko, co widzimy, to tylko nasze odczucia, nie mające z rzeczywistością nic wspólnego, bo stosujemy porównania, które nie oddają nawet w części tego, kim człowiek jest?

Isabelle po śmierci siostry dziedziczy rodzinną firmę, a w domu zastaje dziecko – dziewczynkę, uważaną za znajdę, którą zaopiekowała się niegdyś zmarła. Służba traktuje ją z lekceważeniem, bo dziecko nie komunikuje się ze światem, przez wszystkich uważana jest za upośledzoną, zamiast imienia określa się ją jako „stworzenie”. Wcześniejsza „opieka” – chociaż to słowo nieadekwatne do sytuacji, celniejszym byłby „chów” – polegała na podrzucaniu małej jedzenia i biciu – widać to po bliznach na ciele dziecka. Od momentu pierwszego spotkania z nową właścicielką zmienia się los dziewczynki – nowo przybyła uważa ją za siostrzenicę i daje jej to, czego wcześniej nie знаła – dom. Ma też swój cel – uczłowieczyć ją. Tak to wyglądało z punktu widzenia Karen, jednak nim dziewczynka zaczęła o sobie myśleć w kategoriach imienia, musiała pokonać trudną drogę.

Rzadko zastanawiamy się, ile uczyliśmy się podczas swego życia, naśladowujemy innych, eksperymentujemy, mniej lub bardziej świadomie, od pierwszych chwil życia przyswajamy wiedzę, dzięki której funkcjonujemy w otoczeniu. Nauka ta odbywa się pod okiem rodziców, opiekunów, zdobywamy ją od rówieśników

i obcych ludzi. Jednak w przypadku Karen sytuacja wygląda całkowicie inaczej – ona zaczyna uczyć się tego, co dla innych jest oczywistością, później, gdy już sama stworzyła sobie własny świat, gdzie to, co my uważamy za niezbędne, jest niepotrzebne. Jej inne postrzeganie otoczenia jest uznane za opóźnienie, tylko ciotka widzi w niej to, czego nie dostrzega reszta, i pozwala być sobą, chociaż nie zaprzestaje pomagać dziewczynie zdobywać wiedzę. Karen uczy się życia na kuterach rybackich w rodzinnej firmie i od rybaków. Może to mało konwencjonalna metoda, ale sprawdza się doskonale w jej przypadku

Autyzm – słowo to pada po kilkunastu stronach powieści, jednak książka pisana jest z punktu widzenia bohaterki, więc to, jak dziewczyna postrzega świat, wydaje się jak najbardziej na miejscu. Karen nie potrafi kłamać, nazywa rzeczy takimi, jakimi są naprawdę – po chwili zastanowienia przyznaje jej się rację. Sami często mówimy półprawdy lub najzwyczajniej w świecie oszukujemy otoczenie w imię dobrego wychowania, albo gdyż tak jest wygodniej. Bohaterka bierze wszystko dosłownie, nie jest naiwna – ona traktuje innych tak samo, jak odbiera samą siebie. Nie zawsze jest niezrozumiała dla świata – w czasie gdy studiuje, jej wypowiedzi są nawet nagradzane – tylko indywidualizm prezentowany przez nią jest nie do przyjęcia, szczególnie gdy ośmiela się mieć inne zdanie niż uznane autorytety. Ile razy siedząc na wykładach studenci mają swoją opinię lub teorię, jednak w imię zasady „niewychylania się” lub groźby ośmieszenia nie mówią głośno tego, co naprawdę uważają? Karen nie boi się powiedzieć dokładnie tego, co uważa za słuszne albo jak rozumiała przekazywaną jej wiedzę, lecz to rzadko spotyka się z aprobatą wykładowców. Jej tok myślenia punktuje każdy zauważony fałsz, nie zawsze ma rację, ale rzadko kto zastanawia się nad odpowiedziami dziewczyny – są niestandardowe, ale czy dlatego gorsze? Czy zamiast wyśmiać to, co niezrozumiałe, nie powinno się poznać istoty tezy ucznia? Na tym polu Karen także nie uzyskuje pomocy od ludzi, szczególnie od tych, którzy powinni być jej przewodnikami, czyli nauczycieli. Jedno zdanie utkwiło szczególnie w mojej pamięci: „Gdy napotkacie ptaszka ze złamanym skrzydełkiem, złamcie mu drugie”. Te słowa wypowiada wykładowca, mający być mentorem dla swoich uczniów, jednak dzięki nim poznajemy prawdziwy obraz wielu ludzi – zamiast spróbować tego, co inne od nas, odrzucamy to jako gorsze. Niestety dotyczy to nie tylko zdarzeń, ale także ludzi.

Większość otoczenia zauważała w Karen tylko to, co jest poniżej normy, jednak jej ciotka zawsze skupiała się na tym, co było w niej powyżej przyjętej średniej. Wierzyła w nią od pierwszego momentu gdy ją zobaczyła i z biegiem lat nie zeszła z tej drogi, i dawała nie tylko wsparcie, ale także pozwalała jej rozwijać się i cały czas dawała bodźce do poszerzenia perspektyw. Dzięki właśnie takiemu podejściu dziewczyna może urzeczywistniać swoje pomysły, może nie zawsze udane, ale czy każdy osiąga tylko sukcesy, a porażki zarezerwowane są tylko dla mniej zdolnych? Z każdego błędu można wyciągnąć wnioski, najważniejsze, by nie rezygnować z tego, co uważa się za słuszne – dzięki takiemu myśleniu Karen odnosi sukces, i to na międzynarodową skalę. Pozostaje jednak sobą, dokładnie taką, jaką była w momencie spotkania z Isabelle, tylko z dodatkową wiedzą nabytą dzięki jej uporowi i swojej ciekawości świata.

W opisie książki, na okładce, przeczytałam takie słowa: „Sabina Berman stworzyła kobiecą wersję Forresta Gump’a, lekką i zabawną opowieść, równie zaskakującą jak «pudełko czekoladek»” – nie zgadzam się z nim. Dlaczego? Bo moim zdaniem to nie komedia, ukazująca w żartobliwy sposób życiowy wątek, chociaż na pewno można autyzm i w ten sposób pokazać. Pisarka przedstawiła motyw autyzmu na przykładzie swojej bohaterki – Karen, osadziła jej życie w konkretnych realiach, może i podobnych do tych z filmu, jednak dla mnie całkowicie innych. Takie porównanie powoduje, że można wejść schemat, iż to taka sama opowieść, tylko z kobietą w roli głównej. Dla mnie to dwa odrębne historie, mające jeden punkt wspólny – główne postacie są postrzegane przez większość jako ludzie gorsi, bo według przyjętych norm, nie spełniają ich.

Może po przeczytaniu tej książki częściej zastanowimy się nad wydaniem krzywdzącej opinii na podstawie tylko urywków z czyjegós życia albo tego, co widzimy. W końcu to, jak postrzegamy innych, nie oznacza, że widzimy wszystko i z właściwej perspektywy.

Simone de Beauvoir: *Druga płeć*

Małgorzata Krawczyk

„Nie rodzimy się kobietami – stajemy się nimi”.

Słowa te napisane zostały przez niezwykłą kobietę. Kobietę, która była pisarką, intelektualistką, filozofem, ateistką, życiową partnerką Sartre’a. Mowa oczywiście o Simone de Beauvoir, okrzykniętej, obok Betty Friedan, mianem najznakomitszej przedstawicielki drugiego nurtu feminizmu. Miano to zdobyła dzięki *Drugiej płci*, jednej z najważniejszych książek XX wieku. Jako „drugą” autorka określa oczywiście płeć żeńską, gdyż świat, który zna, urządzony został przez i pod mężczyzn.

W ciągu pierwszego tygodnia od ukazania się w 1949 r. największego dzieła francuskiej emancypantki sprzedano dwadzieścia tysięcy egzemplarzy. Jego popularność nie słabła, nawet pomimo umieszczenia go na Indeksie Książ Zakazanych przez Kościół katolicki.

Druga płeć jest ważną lekturą również dla każdej współczesnej kobiety, nie tylko dla feministki. Można dzięki niej lepiej zrozumieć i docenić sytuację, w której obecnie my, kobiety, żyjemy. Należy jednak zaznaczyć, iż nie jest to lektura łatwa. Książka liczy prawie osiemset stron, a momentami wywody autorki są za długie i przegadane.

Beauvoir poddaje gruntownej analizie pozycję, którą zajmuje kobieta w świecie. Rozpoczyna od przedstawienia jej braków fizycznych w stosunku do mężczyzny, opisuje, w jaki sposób pozycja kobiety zmieniała się na przestrzeni wieków, jak odnoszono się do niej w literaturze.

W drugiej części książki autorka ukazuje poszczególne etapy rozwoju kobiety. Stawia tezę, iż za wszelkie wady odpowiada wychowanie oraz oczekiwania społeczne względem kobiet. Płeć piękna nie ma możliwości takiego rozwoju jak mężczyzna, gdyż zmuszana jest do ślubu, macierzyństwa, pozostania w domu i usługiwania mężowi. Jest do takiej roli przygotowywana od dzieciństwa. Wykonuje jedynie nic nieznaczące proste prace. Nie tworzy niczego dla świata, nie rozszerza dorobku ludzkości.

Beauvoir dużo miejsca poświęca potrzebom seksualnym płci pięknej, co w tamtych czasach wywołało sporo kontrowersji. Tym bardziej że brak uświadczenia kobiet i mężczyzn w zakresie zachowań seksualnych prowadził często do całkowitego braku zadowolenia kobiet w tej sferze życia. Na drodze do osiągnięcia tego zadowolenia stał również strach przed niechcianą ciążą. Autorka przytacza prace naukowe, z których wynika, że we Francji w latach czterdziestych XX wieku usuwano około połowy ciąży. Z uwagi na oficjalny zakaz aborcji, zabiegi wykonywane były w skandalicznych warunkach. Prowadziło to do powikłań, a nawet śmierci. Ponadto Beauvoir stawia bulwersującą tezę, że każda kobieta jest biseksualna lub jest lesbijką.

Autorka kończy swoje rozważania przedstawiając założenia, które powinna spełniać nowoczesna kobieta. Uważa, że podstawą wyzwolenia jest dla kobiet możliwość podjęcia pracy zarobkowej, z którą wiąże się niezależność finansowa.

Czytając tę książkę często się oburzałam i nie zgadzałam z autorką. Niestety jednak parokrotnie odniosłam wrażenie, że wnioski przez nią wysnuwane pozostają aktualne do dziś.

Wystarczy chociażby zastanowić się, czy kobiety są niezależne finansowo. Oczywiście część tak. W naszym kraju w wieku produkcyjnym znajduje się jedenaście milionów Polek. Aż połowa z nich nie pracuje zawodowo. Badania wykazały, że na prace domowe trzeba poświęcić 48 godzin i 26 minut w tygodniu¹⁰. Panie, które poświęcają się dla rodziny, są kucharkami, sprzątaczkami, dietetykami, pielęgniarkami i negocjatorkami, terapeutkami, doradczyniami, nauczycielkami i wychowawczyniami, praczkami, krawcowymi, tragarzami, kierowcami, zaopatrzeniowcami, dekoratorkami wnętrz, kelnerkami, ogrodnikami, księgowymi¹¹. Tymczasem mówi się, że nie pracują.

Druga połowa Polek w wieku produkcyjnym, oprócz wykonywania pracy zawodowej, prowadzi dom. Panie sprzątają trzy razy więcej niż ich partnerzy. Dwa razy częściej robią zakupy. Z badań CBOS-u wynika, że na dziesięć tysięcy kobiet posiadających rodzinę jedynie cztery nie muszą wykonywać dodatkowej pra-

¹⁰ B. Karaś, Bez wyplaty bez prestiżu, w: Dziennik Polski z dnia 23.03.2007, str. 10.

¹¹ K. Goś-Wójcicka, Praca domowa kobiet – Raport Instytutu Spraw Obywatelskich, dostępne na stronie WWW pod adresem: <http://wiadomosci.ngo.pl/strona/266207.html> [01.02.2009].

cy w domu. Tymczasem aż jedenastu na stu mężczyzn przyznało, że w ogóle nie angażuje się w prace domowe oraz wychowanie dzieci¹².

Deprecjonowanie pracy domowej niesie za sobą negatywne konsekwencje psychologiczne. Często sądzi się, że nie jest ona wiele warta. A przecież jest to praca, bez której społeczeństwo nie mogłoby funkcjonować. Instytut Spraw Społecznych w publikacji „Nieopłacana praca domowa” stwierdza: „Przemoc ekonomiczna, czyli trwałe typ zależności osób zajmujących się domem od osób pracujących na tradycyjnym rynku pracy, jest jedną z ważnych postaci przemocy domowej”¹³.

Praca domowa, która nie jest wynagradzana, stanowi 40% PKB¹⁴! W tym miejscu warto również przytoczyć badania Organizacji Narodów Zjednoczonych, zgodnie z którymi roczna wartość nieopłacanej pracy kobiet na świecie wynosi 11 trylionów USD. Kobiety w skali globalnej wykonują prawie siedemdziesiąt procent pracy. W zamian posiadają mniej niż jeden procent własności oraz otrzymują niecałe pięć procent dochodu¹⁵.

Biorąc pod uwagę powyższe, ze smutkiem należy stwierdzić, że postulaty głoszone przez Beauvoir nie zostały w pełni zrealizowane do dzisiaj.

Nie jest to jednak główny powód, dla którego należy sięgnąć po tę pozycję. Nie każda z nas musi w końcu dążyć do realizacji założeń wypracowanych przez francuską feministkę. Są kobiety, które spełniają się życiowo, opiekując się rodziną. Jeżeli to pozwala im osiągnąć szczęście, to nie należy zmuszać ich do zmiany sposobu życia.

Drugą płeć warto przeczytać przede wszystkim dlatego, że książka ta porusza, oburza i uświadamia. Z pewnością niektóre z przedstawicielek naszej płci zanegują poglądy Beauvoir. Możliwe jednak, że wiele kobiet inaczej spojrzy na swoje życie i spróbuje je zmienić.

¹² B. Karaś, Bez wypłaty bez prestiżu, w: Dziennik Polski z dnia 23.03.2007, str. 10.

¹³ Nieopłacana praca domowa – jak ją traktować, żeby skutecznie tworzyć podstawy opiekuńczego społeczeństwa?, Instytut spraw społecznych, Łódź 2006, str. 13.

¹⁴ Norweski Związek Gospodyń Domowych i Norweski Związek Kobiet i Rodziny, „Kvinnfolkarbeid, har det noen verdi?”, polskie tłumaczenie dostępne na stronie: <http://www.kasakobiet.oai.pl/index.php?module=Pagesetter&func=viewpub&tid=4&pid=83>

¹⁵ Dane podane na stronie <http://www.kasakobiet.ngo.org.pl/index.html> na podstawie opracowania „Praca kobiet nigdy nie jest szacowana” P. Come.

Bardzo głośne milczenie

Krystyna Habrat

– Oddaj mu! Ustąp, bo on młodszy.

Taki refren w ustach matki powtarzał się latami. Chodziło o piłkę, czasem długopis, książkę, nawet o buty, bo jemu spasowały jej adidasy. Gdyby mu tego nie dała, głos matki przeszedłby w krzyk, a tak mama milkła. Znowu zapadała cisza.

Syn, a jej młodszy brat, nie mówił nic. I tak wiedział, że każda rzecz należy się jemu. Piłka, długopis, jaki siostra sobie wczoraj kupiła. No, wszystko.

Córka milczała. Gryzła palce, ale rzadko pozwalała sobie na słowo sprzeciwu. Matka tylko syna wysłuchiwała z zachwytem. Ale on rzadko się odzywał. Chyba że domagał się czegoś. Wtedy podnosił głos i matka krzyczała do córki: Oddaj mu!

- Przecież to ja sobie kupiłam...
- Jakaś ty niezgodna. Nie kochasz brata.
- Wszystko tylko dla niego?!
- Jakaś ty zazdrosna.

Brat brał, co chciał, i wychodził. Nigdy nie mówił, dokąd idzie. Pytać go nikt nie śmiał. I tak by nie odpowiedział. Jak tylko zamknął za sobą drzwi, matka siadała przy stole, samotna w świetle żyrandola, i robiła na drutach kolejny sweter.

Córka przymykała oczy i myślała: „Skończę szkołę i ucieknę stąd!”. Na razie musiała uczestniczyć w codziennym korowodzie obierania ziemniaków na obiad, krojenia słoniny na skwarki do ich okraszenia, mycia garów. Czasem płukała w wannie stopy bielizny wyjmowanej ze starej pralki „Frani”, froterowała podłogi. Zawsze był też kurz do starcia. Ten kurz osiadał wszędzie coraz dokuczliwiej. Tu go starła najczystsza ściereczką i zaraz osiadał z powrotem. Błyszczący przez chwilę fornir z powrotem matowiał. Ścierka stawała się brudniejsza.

Miała wrażenie, że w tym szarym kurzu materializuje się ich milczenie. I ono osiadało wszędzie coraz głębszymi warstwami. Na meblach, ścianach. Grzęzło w gardle. Tamowało oddech. Nie pozwalało wykrztusić słowa. Szarzały od niego ściany.

Tylko brat przecinał ciszę, trzaskając drzwiami, gdy wychodził nie wiadomo dokąd. Matka pochylała się wtedy niżej nad dzierganym swetrem i przez chwilę machała drutami żywiej. Potem wykrzykiwała do córki:

- No, czemu ty tak siedzisz?! Weź się do jakiejś roboty. Pościeraj kurz.
 - Jeszcze lekcji nie odrobiłam.
 - Ty masz zawsze wymówkę. Ja się zamęczam, a ty sobie siedzisz.
 - A on mógł iść grać w piłkę??
 - Zazdrość cię zaślepia.
- „Ucieknę stąd już niedługo” – myślała córka, wracając do swoich książek.

W największym pokoju stał telewizor i nierzadko w trójkę tłoczyli się właśnie tam. Mama siadała w jednym fotelu, brat w drugim, oboje z rękami na podołku, bez ruchu zapatrzeni w ekran. Takie dwie czarne mumie egipskie.

Fotele były tylko dwa. Kiedy brata nie było, siostra zajmowała jego fotel. Po powrocie tylko patrzył wymownie na nią. Wtedy matka mówiła do niej spieszenie:

- Zobacz, jaki kurz na kredensie.

Wstawała, żeby go zetrzeć. Nawet wołała mieć taki pretekst, niż ustąpić bratu tylko dlatego, że młodszy. On tymczasem rozsiadał w fotelu, a mama, dla wynagrodzenia zwłoki, przynosiła mu poduszkę pod głowę. Raz schyliła się, jakby chciała podłożyć ją pod nogi.

Matka często nuciła przedwojenny przebój:

„Jedynie serce matki
miłością zawsze tchnie...
A gdy przestanie kiedyś bić,
jak trudno wtedy żyć.
Najlepsi przyjaciele dodadzą smutku wiele...”

Córka przysłaniała uszy rękami. W tym domu unikano ckliwych słów, jak: serce, radość, mamusia, miłość... Sama od takich dostawała gęziej skórki. A co czuli matka i brat, nie miała pojęcia. O tym się nie mówiło. Co innego wymruczeć je pod nosem w piosence, którą śpiewał nawet poczciwy Fogg. Ale mówić?

Zacząła zapisywać słowa, jakich się w tym domu nie używało. Najpierw: „ojciec, rodzina, rozwód”. Tych unikano od czasu, gdy ojciec po raz ostatni przekro-

czył z walizką próg tego domu. W chowanym pod materacem zeszyście przybywało wciąż nowych określeń: „radość, szczęście... marzenie... miłość...”. Potem nazwy niezwykłych kwiatów. Choćby: „takka”. Słyszał kto w tym domu o takim kwiecie, czarnym ze zwisającymi mackami? A zamiokulkas, kurkuma, medinilla? Zachwyciła ją ta egzotyka. Zapragnęła zobaczyć kraje, gdzie takie rośliny rosną. Ach, znaleźć się tak w krainie baobabów czy lemurów! Ale i tu czarowały nazwy: rodzima wiechlina, geranium, przywrotnik pasterski, niepozorny motyl – karłatek... Zadziwiła ją ogromna ilość słów na świecie.

Za pierwsze zarobione na korepetycjach pieniądze kupiła sobie słownik. Bała się, że brat go zabierze. Z przerażeniem dostrzegła raz, jak ze skrzywioną miną kartkuje jej skarb. Nieopatrznie zostawiła go obok książek szkolnych, gdy wywołała ją z domu koleżanka. Wzruszył na koniec ramionami i rzucił nim o stół. Tylko okładka się zagięła. Widać słowa dla niego nie były czymś łakomym. Nawet nie zabrał go jej na złość. Musiał go naprawdę odstręczać. W powieści byłoby, że spojrział na nią ironicznie. Tego nie mogła stwierdzić, bo sama na niego nie patrzyła. U nich nie patrzono sobie w twarz. Nawet nie wiedziała, jakiego koloru są oczy matki.

Uczyła się do matury i ciągle ekscytowały ją niecodzienne słowa. Inni ludzie bez skrępowania wypowiadali takie głośno. Tylko w ich domu – nie! Tu najczęściej mówił telewizor. Oni zazwyczaj milczeli. Wokół nich czały się macki niedopowiedzeń. Gęstniało od sytuacji dawanych do zrozumienia, które mogły być takie i zarazem inne. W drobinach kurzu wirowały te gubione w milczeniu. Przepadały za przygryzioną wargą.

Już wiedziała: kiedyś nauczy się narzecza suahili i wyjedzie tam, gdzie rosną baobaby. W jej słowniku było o tym mało, ale kiedyś dowie się więcej. Na razie oznajmiła, że składa papiery na arabistykę. Słowa te ostro przecięły ciszę mieszkania, ale nikt nie dodał nic więcej.

Kiedy przyjechała na pierwsze święta, matka podsuwała synowi wszystkie półmiski i salaterki, aż wokół jego talerza robiło się ciasno. Druga strona stołu była pusta. Tylko jej talerz i ona sama. Matka siedziała pośrodku. Nagle dostrzegłszy przesadę w asymetrii stołu, powiedziała tonem usprawiedliwienia:

– Bo on tak lubi śledzie... – i dalej podsuwała mu wigilijną kapustę z grzybami, kutię.

„Wigilia, a jakby nie wigilia” – myślała córka. Wprawdzie weselej niż w inne dni, ale czegoś brak. Nawet złożyli sobie życzenia szczęścia. Matka dodała jeszcze synowi: „I błogosławieństwa Bożego”, czym tak się speszyła, że już córce nie powtórzyła. W tym domu unikano wielkich słów. One zatykają krtań, czerwienią od nich oczy. Lepiej więc milczeć.

Milczenie wzięło coraz bardziej. Osiałało szarym kurzem na meblach, ścianach. Zaciskali wargi, żeby nie zadusiło. Czasem wlatywało w górę trzepoczącym, srebrzystym molem. Klaskali wtedy, by go zabić. To ostro kąsało ciszę.

„Założę habit misjonarki – myślała córka – i ucieknę tam, gdzie rosną baobaby, skaczą lemury. Ale jeszcze nie teraz. Za dużo we mnie żalu. Za mało pokory. Wcale nie chcę być pokorna, bo mama mówi, że pokorne cielę dwie matki ssie! Nie chcę być taka!”

„Tylko, czy tam gdzie baobaby są też lemury?” – zastanawiała się. Wiedziała, że te pierwsze, grubaśne olbrzymy, są w Afryce, a drugie, z puszystymi ogonami w poprzeczne paski – na Madagaskarze. Czy się gdzieś stykają? W jej marzeniach.

Wyjechała, ale wracała, kiedy krzyk stamtąd o powinnościach córki przerywał barierę jej żalu. Czekwały na nią coraz większe pokłady kurzu i sterty rachunków oraz pism urzędowych, jakie należało pozatlatwiać. Nazbierało się tego od miesiący. Układała książeczki opłat według kolejności i pisma o bonifikacie za mniejsze zużycie albo karze za zwłokę z opłacie. Kartki jej się mieszały. Myliła się w wyliczeniach. Głowa jej puchła. Kar za niezapłacone rachunki przybywało. Grożono sądem.

– A ty nie mógłbyś czasem iść zapłacić czynsz? – spytała cicho brata, kiedy mama zdrzemnęła się w drugim pokoju. – Mama się w tym gubi. Z jej oczami już kiepsko.

– Mógłbym – przytaknął i włączył telewizor. Długo siedział z oczami wbitymi w tarzających się po boisku piłkarzy. Wreszcie, gdy już zapomniała, o czym była mowa, uzupełnił drewnianym głosem:

– Ale z tymi opłatami nie ma co się tak spieszyć...

– Tylko mama się denerwuje, jak naliczają jej kary. Martwi ją, że sobie nie radzi.

Nie odpowiedział.

„Nie mogę jeszcze jechać na misję” – pomyślała, gdy w tej chwili uświadomiła sobie, że do jej słów egzotycznych przybyło jeszcze jedno: nienawiść. „Nienawidzę mężczyzn! Tych królów świata! Nawet mówią, że kiedy rodzi się córka, składa się matce życzenia, a jak syn – gratulacje... Kobiet też nienawidzę! Rodziny nigdy nie założę!”

Po chwili uzupełniła: „Na misje też się nie nadaje, bo nie potrafię kochać wszystkich!”.

Pospiesznie odjeżdżała do swych książek, licznych już słowników i słów najbardziej egzotycznych. Wróciła, kiedy matka dotknęła krańca istnienia. Po pogrzebie wrócili oboje z bratem do pustego mieszkania. Za chwilę miało przyjść kilka osób na tradycyjną stypę. Jakoś ci obcy tu nie pasowali. Od dawna nikt taki u nich nie był. Ale gorsza była panująca w domu ciemność. Coś się w niej czaiło? Chciała szybko zapalić światło, przepłoszyć to straszne i ledwo nacisnęła przycisk, lampa zabłyśła i zgasła.

– No, coś narobiła!? – warknął brat przesadnie głośno.

Nie odpowiedziała. Wydało się jej, że to pękło serce żyrandola z żalu za mamą. Siadywała pod nim zawsze, gdy dziergała na drutach. Żyrandol okazał więcej niż ona, córka. Na pogrzebie nie uroniła ni łzy.

– Czego krzyczysz? Teraz tym wszystkim zajmujemy się oboje.

– Jak to oboje? Tu wszystko moje! Mnie się należy!

– Mama tak zapisała?

– Nie pozwalałem jej spisać testamentu. Żeby się nie przejęła. Ale ona to wszystko dla mnie...

Po raz chyba pierwszy wygłosił aż tak długą mowę i mocno zacisnął pięść na kluczach.

– To mam sobie iść?

Nie odpowiedział. Tylko w półmroku błysnęło za nim coś na tle zszarzałych od kurzu ścian. Drobinę kurzu czy mól? Wtedy wyszła. Nie czekała na zapowiedzianych gości. Niech sobie myślą, co chcą! Chyba naprawdę, jak mama jej za-

rzucała, zaślepiła ją zazdrość? Odtąd, ile razy pisała słowo: „brat”, wychodziło jej zamiast tego: „brał”.

Kiedy później rozpamiętywała minione lata, wydawało się jej to wszystko niemożliwe. „To tylko pamięć tak wykrzywia” – myślała. Albo ona tak to widziała, bo serce jej twardniało od niewykrzyzanego żalu? Może naprawdę była głucha i ślepa, by widzieć więcej za milczeniem, za kurzem. Słyszeć inne słowa? Przecież matka ją kochała. Nie mówiło się o tym, ale musiało tak być. Jednak w jej pamięci pozostało tylko najgorsze. Niewdzięczna! Ale łyżka dziegciu zatruje każdą beczkę miodu. Nie na darmo ją wydziedziczyli.

I tak brat zabrał wszystko. Nie walczyła. Była nauczona oddawać mu wszystko. Cóż zresztą znaczą dobra materialne? Gorsze było wydziedziczenie z miłości. Nikt jej nie nauczył miłości. Ani szczęścia. Ale wtedy już wiedziała, że do życia nie potrzeba wielu rzeczy, ale wielu, wielu słów.

W nowym miejscu, gdzie ma swe baobaby i lemury, potrafi już być inna. Pomimo że odgradza ją ściana słów, jakich jeszcze nie zna. Czarne oczy wypatrują jej oczu. Polują na jej spojrzenie. Tu nikt nie boi się słowa „miłość”. Ktoś to często powtarza, żeby wreszcie nauczyła się w nie wierzyć.

@trament nr 2 – sierpień 2011

W kolejnym numerze „@tramentu” postanowiliśmy zmierzyć się z pojęciem magii. I, podobnie jak dotychczas, nie zamierzamy szufladkować tego tematu, czyli brać pod uwagę tylko fantastycznej, irracjonalnej istoty tego zjawiska, rodem z powieści SF (choć oczywiście spojrzenie pod tym kątem również zostanie w treści magazynu zawarte), ale pragniemy również ukazać małe cuda, rozgrywane się codziennie w życiu każdego człowieka: magiczną stronę uczuć, więzi międzyludzkich, doświadczeń i innych, będących świadectwem tego, że nasza egzystencja obfituje w momenty ważne, niezwykle i niepowtarzalne, jednym słowem: magiczne.

Gorąco zapraszamy do współtworzenia sierpniowego numeru! Czekamy na e-maile powiązane tematycznie z treścią przyszłego wydania, jak również inne teksty, będące dla nas inspiracją do kolejnych numerów oraz propozycje nowych tematów.

Mamy nadzieję, że pierwszy numer to dopiero początek i że wspólnymi siłami będziemy z entuzjazmem tworzyć kolejne, tym samym udowadniając, że słowo pisane ma wielką moc, a wśród nas wielu jest ludzi zdolnych, z pasją tworzenia!